

Tadeusz Borowski

„Pożegnanie z Marią”

I

Za stołem, za telefonem, za sześcianem biurowych książek — okno i drzwi. We drzwiach dwie tafle szklane, czarne, lśniące od nocy. I jeszcze niebo, tło okna pokryte opuchłymi chmurami, które wiatr spycha w dół szyby, ku północy, poza mury spalonego domu.

Spalony dom czernieje po drugiej stronie ulicy, na wprost furtki w ochronnej siatce zakończonej srebrzystym drutem kolczastym, po którym jak dźwięk po strunie ślizga się fioletowy odbłask migocącej latarni ulicznej. Na tle burzliwego nieba, na prawo od domu, omotane mlecznymi kłębami przelotnego dymu lokomotyw, patetycznie rysuje się bezlistne drzewo, nieruchome w wicherze. Naładowane towarowe wagony mijają je i z łoskotem ciągną na front.

Maria podniosła głowę znad książki. Smuga cienia leżała na jej czole i oczach i spływała wzdłuż policzka jak przejrzysty szal. Położyła ręce na grzybku stojącym wśród pustych butelek, talerzy z nie dojedzoną sałatą, brzuchatych, karmazynowych kieliszków o granatowych podstawkach. Ostre światło, które załamywało się w granicy przedmiotów, wsiąkało jak w dywan w niebieski dym zalegający pokój, odpryskiwało od kruchych, łamliwych krawędzi szkła i migotało we wnętrzu kieliszków jak złoty liść na wietrze — nabiegło struną w jej dłonie, a one rozświetloną, różową kopułą zamknęły się szczelnie nad nim i tylko bardziej różowe linie między palcami pulsowały prawie niedostrzegalnie. Przyćmiony pokój napełnił się poufnym mrokiem, zbiegł się ku dłoniom i zmalował jak muszla.

— Patrz, nie ma granicy między światłem i cieniem — szepnęła Maria. — Ciebie jak przyływ podpełza do nóg, otacza nas i zacieśnia świat tylko do nas: jesteśmy ty i ja.

Pochyliłem się ku jej wargom, ku drobnym spękaniom ukrytym w ich kącikach.

— Pulsujesz poezją jak drzewo sokiem — powiedziałem żartobliwie, otrząsając głowę z natrętnego, pijackiego szumu. — Uważaj, żeby świat ciebie nie zranił toporem.

Maria rozchyliła wargi. Między zębami drżał leciutko ciemny koniuszek języka: uśmiechała się. Kiedy mocniej zacisnęła palce wokół grzybka, błysk leżący na dnie jej oczu zmatowiał i zgasł.

— Poezja! Dla mnie to rzecz tak niepojęta jak słyszenie kształtu albo dotyk dźwięku. — Odchyliła się w zadumie na poręcz kozetki. W półcieniu czerwony obcisły sweter nabrał purpurowej soczystości i tylko na grzbietach fałd, gdzie ślizgało się światło, lśnił karminową, puszystą barwą. — Ale tylko poezja umie wiernie pokazać człowieka. Myślę: pełnego człowieka.

Zabębniłem palcami o szkło kieliszka. Odezwał się kruchym, nietrwałym dźwiękiem.

— Nie wiem, Mario, — rzekłem, wzruszywszy z powątpiewaniem ramionami. — Sądzę iż miarą poezji, a może i religii, jest miłość, człowieka do człowieka, którą one budzą. A to jest najbardziej obiektywnym sprawdzianem rzeczy.

— Miłość, oczywiście, że miłość! — powiedziała, mrużąc oczy, Maria.

Za oknem, za spalonym domem, na szerokiej, przedzielonej skwerem ulicy jeździły ze zgrzytem tramwaje. Elektryczne błyski rozświetlały fiolet nieba, jak odpryski z sinego pożaru magnezji przebijały się przez mrok, oblewały księżycowym światłem dom, ulicę i bramę, ocierając się o czarne szyby okienne, spływały po nich i bezszelestnie gasły. Chwilę po nich gasł również wysoki, cienki śpiew tramwajowych szyn.

Za drzwiami, w drugim pokoiku, puszczone znowu patefon. Zdławiona, jakby grana na grzebieniu melodia zacierała się w natarczywym szuraniu tańczących nóg i gardłowych śmiechach dziewczęcych.

— Jak widzisz, Mario, oprócz nas jest jeszcze inny świat — roześmiałem się i wstałem z kozetki. — To, widzisz, jest tak. Gdyby można było rozumieć cały świat, czuć cały świat, widzieć cały świat, tak jak się rozumie swoje myśli, czuje się swój głód, widzi się okno, bramę za oknem i chmury nad bramą, gdyby można było widzieć wszystko jednocześnie i ostatecznie, wtedy — powiedziałem z namysłem, okrążywszy kozetkę i stanąwszy pod rozgrzanym piecem między Marią a majolikowymi kaflami i workiem z kartoflami zakupionymi w jesieni na zimę — wtedy miłość byłaby nie tylko miarą, ale i ostateczną instancją wszystkich rzeczy. Niestety, zdani jesteśmy na metodę prób, na samotne, zwodnicze przeżycie. Jakże to niepełna, jakże

falszywa miara rzeczy!

Drzwi od pokoiku z patefonem otworzyły się. Chwiejąc się w takt melodii, wszedł Tomasz oparty o ramię żony. Jej lekko ciężarny, a od wielu miesięcy stateczny brzuch cieszył się nieustającym zainteresowaniem przyjaciół. Tomasz podszedł do stołu i chwiał się nad nim rozrosłym, pękatym, masywnym jak u wołu łbem.

— Źle się starasz, bo wódki nie ma — rzekł z miękkim wyrzutem, starannie zlustrowawszy naczynia, i odpłynął, popychany przez żonę, w kierunku drzwi. Patrzył w nią tępym wzrokiem jak w obraz. Mówiło się, że to zawodowo, gdyż handlował fałszywymi Corotami, Noakowskimi i Pankiewiczarni. Poza tym był redaktorem syn-dykalistycznego dwutygodnika i uważał się za radykalnego lewicowca. Wyszli na skrzypiący śnieg. Kłęby mroźnej pary przewinęły się po podłodze jak włochate motki białej bawełny.

W ślad za Tomaszem do kantoru majestatycznie wtoczyły się j taneczne pary, pokreśliły się sennie koło stołu, majolik i kartofli, starannie omijając zacieki pod oknem, i zostawiwszy czerwone Ślady od świeżo pastowanej posadzki, wróciły tam, skąd wyszły. Maria poderwała się od stołu, poprawiła automatycznym ruchem włosy i powiedziała:

— Muszę już iść, Tadeusz. Kierownik prosił, żeby zaczynać wcześniej.

— Masz jeszcze dobrą godzinę czasu — odrzekłem.

Okrągły zegar firmowy o pogiętej blaszanej tarczy tykał miarowo, zawieszony na długim sznurku między na wpół rozwiniętym plakatem, rysunkiem urojonego widnokregu a węglową kompozycją przedstawiającą dziurkę od klucza, przez którą widać fragment kubistycznej sypialni.

— Wezmę Szekspira, postaram się zrobić w nocy Hamleta na wtorkowy komplet.

Przeszedłszy do drugiego pokoju, kucnęła przy książkach. Półka zbita była prymitywnie z nie heblowanych desek. Deski uginały się pod ciężarem książek. W powietrzu leżały błękitne i białe pasma dymu oraz unosił się ciężki zapach wódki zmieszany z odorem ludzkiego potu i wapienną wonią wilgotnych, gnijących ścian. Chwiały się na nich, jak bielizna na wietrze, jaskrawo malowane kartony i jak morskie dno przeświecały się kolorowymi liniami meduz i koralu poprzez błękitny opar. W czarnym oknie, odgradzony szybą od nocy, zaplątany w cienką koronkę firanki wyszachrowanej za psie pieniądze od złodziejki kolejowej, smętny, zapijaczony skrzypek (który uważał siebie za impotentą) na próżno usiłował jękiem instrumentu zagłuszyć charczenie patefonu. Zgarbiony jak pod workiem cementu, wydobywał ze skrzypiec z ponurą zaciętością jeden tylko pasaż. Od dwóch godzin ćwiczył się do niedzielnego koncertu poetycko-muzycznego. Występował wtedy umyty, w wizytowym garniturze w paski, miał twarz melancholijną i oczy senne, jakby czytał z powietrza nuty.

Na stole, na obrusie w czerwone kwiaty, wyszachrowanym od złodziejki kolejowej, między kieliszkami, książkami i nadgryzionymi kanapkami, leżały gołe i brudne nogi Apoloniusza. Apoloniusz huśtał się na krzeselku i odwracając się do drewnianego, pomalowanego wapnem przed pluskwami tapczana, na którym, jak duszące się ryby na piasku, leżeli półpijani ludzie, donośnym głosem mówił:

— Czy Chrystus byłby dobrym żołnierzem? Nie, raczej dezertorem. Przynajmniej pierwsi chrześcijanie uciekali z armii. Nie chcieli się sprzeciwiać złu.

— Ja się sprzeciwiam złu — rzekł leniwie Piotr. Leżał rozwalony między dwiema rozmamłanymi dziewczynami i gmerał rękoma w ich fryzurach. — Zdejm nogi ze stołu albo je umyj.

— Umyj nogi, Polek — rzekła dziewczyna spod ściany. Miała grube, rozlane uda i czerwone, mięsiste wargi.

— Ale! chcielibyście. Uważacie, był taki szczep Wandalów, bardzo tchórzliwy — ciągnął Apoloniusz, zesunąwszy piętą talerze na kupę — wszyscy ich tłukli i z Danii czy z Węgier wygnali do Hiszpanii. Tam Wandale wsiedli na okręty, pojechali do Afryki i doszli piechotą pod Kartaginę, gdzie biskupem był św. Augustyn, ten od św. Moniki.

— A wtedy święty wyjechał na osłe i nawrócił Wandalów — powiedział spod pieca młodzieniec, pyknąwszy z fajki. Wydymał pulchne, różowe policzki, pokryte złocistym puszkim jak owoc brzoskwini. Pod oczyma miał wielkie sińce. Pianista, dłuższy czas żył z pianistką o uroczych dołkach w buzi i drapieźnym, namiętym spojrzeniu. Latem ochrzcziliśmy go (bo był wyznania narodowego) przy zapalonych świecach, wiechciach kwiatów i miednicy chłodnej, kaplicznej wody, którą zapobiegliwy ksiądz umył mu dokładnie głowę, a zaraz po chrzcie na najruchliwym punkcie Grójeckiej wymigiwaliśmy się od łapanki ulicznej. Pożenił ich nierychło, bo dopiero późną zimą. Rodzice odmawiali błogosławieństwa ze względu na mezalians. Wprawdzie ustąpili i użyczyli muzykom pokoju do spania i fortepianu do ćwiczeń oraz kuchni do produkcji bimbru, ale nie zechcieli zaprosić na wesele przyjaciół, więc przyjaciele weselisko urządzili sami. Panna młoda w sztywnej

niebieskiej sukni siedziała w fotelu nieruchomo, jakby połknęła kij. Była senna, zmęczona i pijana.

— Miło tu u was, bardzo miło, wiesz? — Żydóweczka, która uciekła z getta i tej nocy nie miała gdzie spać, ukłękła koło Marii przy książkach i objęła ją ramieniem. — To dziwne, tak dawno nie miałam w ręku szczoneczki do zębów, kanapki, filiżanki z herbatą, książki. Wiecie, to trudno nawet określić. I wciąż to uczucie, że trzeba odejść. Ja się panicznie boję!

Maria pogłaskała ją, milcząc, po ptasiej głowie ozdobionej lśniąco falami przylizanych włosów.

— Przecież pani była pieśniarką? Chyba niczego pani nie brakowało. — Miała na sobie żółtą sukienkę w chryzantemy, z wyzywającym dekoltem. Zza niego wychylała się zalotnie kremowa koronka koszulki. Na długim łańcuszku kołysał się między piersiami złoty

krzyżyk.

— Brakowało? Nie, nie brakowało — odrzekła z błyskiem zdziwienia w załzawionych, krowich oczach. Miała szerokie, rozłożyste biodra, dobre do rodzenia. — Niech pan zrozumie, z artystkami nawet Niemcy inaczej... — urwała i zamyśliła się, patrząc tępo w książki. — Platon, Tomasz z Akwinu, Montaigne — dotykała polakierowanym na purpurowo paznokciem obszarpanych grzbietów kupionych na wózkach i wykradzonych z antykwariatu książek.

— Tylko żeby pan widział to, co ja widziałam za murami...

— Augustyn napisał sześćdziesiąt trzy książki! Kiedy Wandalowie obiegli Kartaginę, robił właśnie korektę i przy niej umarł! — rzekł maniacko Apoloniusz. — Po Wandalach nie zostało nic, a Augustyna dzisiaj czytają. Ergo — wznosił dłoń z rozczapierzonymi palcami ku sufitowi — wojna minie, a poezja zostanie, a wraz z nią zostaną moje winiety!

Pod sufitem suszyły się na sznurkach okładki tomiku poetyckiego. Ciągnęło od nich farbą drukarską. Światło przebijało się przez czarne i czerwone płaszczyzny pakowego papieru i plątało się wśród kartek jak w gąszczu leśnym. Okładki szeleściły jak suche liście.

Żydóweczka podeszła do patefonu i zmieniła płytę.

— A ja myślę, że po aryjskiej stronie też będzie getto — powiedziała, patrząc z ukosa na Marię. — Tylko nie będzie z niego wyjścia. — Odplynęła w tańcu, zabrana przez Piotra.

— Ona jest zdenerwowana — rzekła cicho Maria. — Jej rodzina została za murami.

Igła trafiła na pęknięcie w płycie i zawodziła monotownie. We drzwiach stanął zarumieniony Tomasz. Jego żona poprawiła sukienkę na lekko wypukłym brzuchu.

— „Jeszcze tylko kilka ciężkich chmur nie porozpychanych nozdrzem konia” — zadeklamował i wskazawszy ręką za okno, na bramę, krzyknął z uczuciem: — Koń, koń!

W kręgu złotawego światła znad drzwi śnieg oślepiająco biały i gładki leżał jak talerz na popielatym obrusie, dalej, w cieniu, szarzał i siniał, jakby odbijał niebo, aż dopiero przy furtce mienił się w blasku lampy ulicznej. Załadowana jak wóz z sianem platforma stała w ciemności, nieruchoma jak góra. Czerwona latarnia kołysała się pod kołami, kładąc na śnieg rozchwiane cienie, oświetlając nogi i podbrzusze konia, który wydawał się wyższy i cięższy niż zazwyczaj. Szły od niego kłęby pary, jakby oddychał skórą. Zwiesił łeb, był zmęczony.

Furman stał obok wozu i cierpliwie czekał, zabijając rękoma o pierś. Kiedy odciągnęliśmy z Tomaszem skrzydła bramy, sięgnął bez pośpiechu po bat, machnął lejcami i cmoknął. Koń poderwał łeb, szarpnął się całym ciałem na boki, ale wóz nie ruszył. Przednie koła utkwili w rynsztoku.

— Za pysk cholere i do tyłu — rzekłem ze złością. — Zaraz podłożę deskę do rynsztoka.

— K'sobie — krzyknął furman napierając na dyszel. Żandarm w niebieskim płaszczu, pilnujący sąsiedniego budynku

byłej szkoły miejskiej, napakowanej jak więzienie „ochotnikami” przeznaczonymi na roboty do Prus, bijąc tępo podkutymi butami o kamienie chodnika, nadszedł od strony latarni. Przez pierś miał przewieszony reflektor na rzemieniach. Podkreślił kontakt i uprzejmie zaświecił.

— Za dużo kłopotów naładowane — rzekł rzeczowo. Spod okapu hełmu, z głębokiego cienia, oczy jego błyszczały nad strugą światła ostro jak wilcze ślepia. Co dzień rano przychodził do kantoru telefonować po zmianę warty i nieodmiennie meldował, że nic ważnego w ciągu nocy nie zaszło.

Koń chrapnął, osadził się na tylnych nogach, napał ciałem do tyłu i platforma dźwignęła się po kocich łbach. Teraz koń pociągnął ku przodowi. Wóz naładowany po wierzch jak krypa walizkami, tłomo-kami, betami, meblami i brzęczącymi naczyniami z aluminium, chwiejąc się, wjechał po deskach na podwórze. Żandarm zgasił reflektor, poprawił na sobie pasy i miarowym krokiem oddalił się w stronę szkoły. Zwykle ją

mijał, dochodził do małego kościółka księży pallotynów (częściowo spalonego we wrześniu i odnawianego pieczołowicie a nieustannie w ciągu całego sezonu materiałami z naszej firmy), skręcał pod gnijącym murem schroniska dla bezrobotnych, mieszczącego się w pofabrycznych halach tuż przy torze kolejowym. Był to ruchliwy port przeładunkowy, tędy bowiem płynęły belami i pojedynczo koce, kupony materiałów, ciepłe ubrania, skarpety, konserwy, serwisy, firanki, obrusy i ręczniki oraz wszelkie inne dobro kradzione z pociągów towarowych idących na front, a także kupowane od obsługi wagonów sanitarnych, które, wracając z frontu z zegarkami, jedzeniem, rannymi, bielizną i częściami do maszyn, meblami i zbożem, zatrzymywały się często na dworcu jak przy molu portowym.

Furman trzasnął jeszcze raz dla fantazji batem, cofnął konia i podjechał tyłem pod drewnianą szopę. Koń robił bokami i dymił parą. Odprężony z szorstką czułością przez woźnicę, powstał chwilę w dyszlach, jakby znużony ponad siły, wreszcie, podgoniony ostro, ruszył wolno pod kran i wetknął pysk w kubel. Wypiwszy do dna nadsiorbnął wody z drugiego i włącząc za sobą uprząż, poszedł w stronę otwartych drzwi stajni.

— Sporo przywiozłeś, Olek — rzekłem, rozejrzawszy się w zasobach platformy.

— Wszystko kazała zabrać — rzekł woźnica. — Patrz pan, załadowałem nawet taborety z kuchni i półki z łazienki. Stara stała nade mną jak kat nad dobrą duszą.

— Nie bała się tak w biały dzień?

— Pozwolenie dla niej dostał zięć od swego kolegi — rzekł Olek.

Twarz miał kościstą, wychudłą, ściągniętą mrozem. Zrzucił czapkę. -Szywne od wapna włosy rozmierzwiły mu się nad czołem.

— A córka?

— Została z mężem. Klóciła się ze starą, że musi zostać jeszcze dzień. — Popluł w żylaste, wykrzywione dłonie, zżarte od cementu, wapna i gipsu. — Ano, będziem zdejmować. — Wlazł na wóz, rozplatał sznury i począł podawać jedno po drugim krzeselka, wazon, poduszki, kosze z bielizną, pudła staroświeckie, osznurowane książki.

Chwytałiśmy je z Tomaszem i na cztery ręce wnosiliśmy do zatechłej, ciemnej szopy, układając towar na betonie między workami z na wpół skamieniałym cementem, stosem cuchnącej smołą czarnej papy a kupą suchego wapna przeznaczonego na detaliczną sprzedaż chłopom. Wapno cienkim pyłem unosiło się w powietrzu i gryzło nieznośnie nozdrza. Tomasz sapał spazmatycznie. Był chory na serce.

— Powiedz pan, po co ją kierownik wziął do siebie? — zapytał woźnica, skończywszy ładunek.

— Zrobiła go człowiekiem, to się jej wywdzięcza. — Zasunąłem drzwi szopy i zamknąłem je na kłódkę.

— Wdzięczność jest rzeczą piękną — rzekł Tomasz. Oddychał miarowo, wciągając głęboko powietrze. Chwytał w garście śnieg i mył nim dłonie. Wytarł je o spodnie.

— Taa... narobiłem się dzisiaj — powiedział furman, zniżając z platformy. Nie mógł się swobodnie ruszać w twardym kożuchu, pokrytym skorupą wapna, smoły i dziegciu. Oparł się o wóz, z ulgą pociągał nosem i otarł ręką czoło. — Panie Tacku, panie Tacku, co ja tam widziałem, tobyś pan nie uwierzył. Dzieciaki, kobity... Chociaż i żydowskie, ale wiesz pani..

— Ale pan jakoś wyjechałeś szczęśliwie?

— Inżynier nas widział po drodze. Będzie co z tego?

— Ale — rzekłem lekceważąco — co nam te ciapciaki mogą zrobić? Jak kierownik chce kupić filię, to muszą z nim dobrze, nie?

Pojdziesz z rana kursem. Metr wapna na lewo. Wrócisz przeciw siódmą.

— Ano, trzeba rano z dołu wyrzucić. Konia oporzadzę. — Po-włókl się w ślad za zwierzęciem do stajni. Przechodząc koło kantoruj uchylił czapki.

W złotym kręgu światła jak w aureoli, otoczona jak dłońmi siną nocą połyskującą pierścieniem gwiazd, stała Maria. Przymknęła sobą drzwi od muzyki i ludzi i wyczekująco patrzyła w mrok. Otrzępałem ręce z kurzu.

— A jak jutro z rozlewaniem i rozwiezieniem? — Ująłem ją poc ramię i po chrupiącym czerstwym śniegu poprowadziłem wydeptaną ścieżką do furtki. — Może poczekasz do południa? Rozwieziemy razem.

Staliśmy w otwartej furtce. Po pustej ulicy, otwartej migocącym światłem latarni, tępym krokiem spacerował żandarm w niebieskim płaszczu, pilnujący szkoły. Nad ulicą, nad światłem latarni, nad stromym dachem wtulonej w mur szopy szedł z szumem wiatr, niósł dym pociągów, gnały pierzaste obłoki, a nad wiatrem i chmurami drżało niebo głębokie jak dno ciemnego potoku. Księżyc prze-świtywał przez chmury jak złoty szmat piasku.

Maria uśmiechnęła się czule.

— Wiesz dobrze, że sama rozwiozę — rzekła z wyrzutem, podając mi usta do pocałunku. Wielki czarny kapelusz ocieniał jej twarz jaki skrzydłem. Była o pół głowy wyższa ode mnie. Nie lubiłem przy obcych jej pocałunków.

— Widzisz, solipsysto' poetycki, co może miłość — rzekł pogodnie Tomasz. — Bo miłość to poświęcenie. Mówię z głębi doświadczenia, bom wiele miał kochanek.

Zmierch, który zaciera rysy człowieka, nadał mu bryłowatość i ciężar, jakby Tomasz był ociosanym z grubsza kamieniem.

Pieprzyk pod lewym okiem czerniał filuternie na monumentalnej, iakby kutej z szarego piaskowca twarzy.

— Oczywiście, że miłość — parsknęła beztroskim śmiechem Mariami dygnawszy nam dystyngowanie, odeszła ulicą wzdłuż siatki, naprzeciw chmurom, które wiatr gnał nad naszymi głowami. Minęła sklep paskarza, gdzie nabywałem chleb i kaszanke na śniadanie, a chłop swoje dzieci zamknięte w szkole. Znikła za rogiem, nie obejrzawszy się. Patrzyłem za nią jeszcze chwilę, jakby tropiąc w powietrzu jej ślad.

— (Miłość, oczywiście, że miłość! — powiedziałem, uśmiechając się do Tomasza.

— Daj furmanowi wódki, jeżeli masz gdzie pod łóżkiem — rzekł Tomasz. — Chodź, trzeba zbratać się z ludem.

II

Nocą spadło trochę śniegu. Zanim otworzyłem oficjalnie bramę na znak rozpoczęcia dnia handlu, wyprawivszy pijanych gości i sprzątnawszy pokój, furman, który wstał przed świtem, zdążył wyrzucić wapno z dołu i zawieźć na budowę, a wróciwszy z kursu, wyprząc konia i usunąć z placu ślady kół. Tak wczesnym rankiem na dworze było jeszcze sinawo, a na ulicy — pusto. Z torów kolejowych dochodził grzechot pociągów. Patrolujący żandarm poszarzał i zmałał w odpływającym mroku, który go zostawił na wybrzeżu wyludnionej ulicy jak zapomniany wodorost. W oknach byłej szkoły zaczynały pojawiać się głowy uwiezionych ludzi. W paskarskim sklepiku, przy składzie, grzali się przy rozżarzonem piecyku dwaj granatowi policjanci. Mrugający po pijacku czerwonymi oczyma sklepikarz rozkładał drżącymi rękoma na ladzie za szkłem ser, kaszę i chleb. Chłopka wyciągnęła z koszyka pięta kielbasy, które zniknęły pod ladą w podwójnej ścianie. Przez zamrażnięte szyby sączył się szary świt. Po zardzewiałych kratkach spływały brudne krople, monotennie spadały na parapet i ciurkiem lały się na podłogę. Latem, jesienią, zimą i wiosną uliczka — ślepa, wybrukowana kocimi łbami, śmierdząca zgnilizną otwartych rynsztoków, uliczka zagubiona między grząskim jak przegniły trup polem a szeregiem zmurszałych, parterowych domków mieszczących pralnię, fryzjera, mydlarnię, parę sklepików spożywczych i obskurny bar — dzień w dzień pęczniała” wzbierającym, rozfalowanym tłumem, który podpływał pod betonowe mury szkoły, wyciągał twarze ku nowoczesnym oknom, ku pokrytemu czerwoną karpiówką dachowi, podnosił głowy, wymachiwał rękoma i krzyczał. Z otwartych okier szkoły wołano i dawano białymi dłońmi znaki jak z odbijającego od brzegu okrętu. Ujęty jak w groble w dwa szeregi policjantów tłum odpływał korytem ulicy, odchodził aż do placu leżącego u jej wylotu, skąd otwierała się miła oczom perspektywa na zapuszczone mielizny nad rzeką, porośłe kępkami postrzępionej wikliny i pokryte z rzadka liszajami śniegu, na most nad leżącą na migotliwym nurcie mgłą, na żółte, pastelowe domy miasta, roztapiające się w czystym, spokojnym, błękitnym niebie — kłębił się rozpaczliwie na placu i znowu; powracał z krzykiem.

Paskarski sklepik był małą, zaciszną zatoką. Nad szklanką bimbru z buraków bratali się przy ladzie policjanci z chłopami; i handlowali ludźmi ze szkoły. Nocą policjanci wysadzali przez okno szkoły towar, który albo natychmiast zniknął w zakamarkach ulicy, albo, kalecząc się nieludzko, przełaził przez druty kolczaste na plac] naszej firmy budowlanej, gdzie wałęsał się aż do rana, gdyż kantor był oczywiście zamknięty. Zwykle były to dziewczęta. Łaziły bezradnie po podwórzu, oglądając kupy piasku, zwały gliny, sześciany] cegieł, trocinówek, szpaltówek, ramsayek, zachodziły do sąsiedków z grysikiem, którego różne odcienie i wielkości używane były na schody oraz nagrobki, i załatwiały się tam beztrosko. Obudziwszy się, wyrzucałem je bardzo altruistycznie za bramę, a korzyści

procederu oprócz policjantów (i pewnie nieprzystępnego, obcego nłaskim, ludzkim sprawom żandarma) ciągnął wyłącznie sąsiad, sklepikarz. Nie odczuwał jednak ani obowiązku, ani potrzeby wdzięczności. Dzień w dzień wpadałem do niego po ćwiartkę razowego chleba, dziesięć deka kiszki i dwa deka masła. Z reguły mi nie dowozał, a cenę wydatnie zaokrąglał. Uśmiechał się wstydlivie, ale ręka drżała mu przy zgarnianiu

pieniędzy.

Zresztą. On nie dolewał do pełna setki bimbru, nie dowoził deka masła, ciął chleb na nierówne części i wyciskał z chłopów bezlitośnie forszę za każdą wypuszczoną na lewo dziewczynę, gdyż chciał żyć sam, miał żonę, synka w drugiej gimnazjalnej i dorastającą córkę, uczennicę kompletu licealnego, odczuwającą nęcące powaby stroju, urok chłopców, smak nauki i czar konspiracji; firma budowlana zaś sprzedawała, tak chłopom, jak inżynierom, mokry ton, skamieniały cement, mieszała wapno z wodą, a lepek z piaskiem, a także odbierając wagony z towarem stwierdzała, przy cichym zrozumieniu magazyniera kolejowego, poważne manko, co natychmiast wpisywało się w księgi. Dostawca urzędowy nabierał w usta wody, miał bowiem z firmą osobne rachunki, których nie księgowano nigdzie. Firma budowlana! Ona jak dojna i cierpliwa krowa rozdawała wszystkim utrzymanie. Pracowity jej właściciel, brzuchacz opięty kraciastą kamizelką z brelokiem, patriarchalnie siwy, apoplektycznie nerwowy Inżynier z brodą w klin, na utrzymanie żony dewotki trwoniącej pieniądze nażebraków, kościoły i zakonników oraz syna erotomana ciągnął z niej w czasach wielkiego głodu (kiedy jedliśmy obierki i przydziałowy chleb z solą) grube tysiące jak mleko z wymion, rozbudował składy w centrali, wydzierżawił plac po spalonej we wrześnie firmie i założył na nim filię swojego przedsiębiorstwa, kupił dworski pojazd, cugowego konia ze strzyżonym ogonem, wynajął woźnicę, nabył za pół miliona majątek ziemski pod stolicą, wprowadził nieco zaniedbany i podupadły, ale nadający się do polowań (miał bowiem spory kawał lasu) i uprzemysłowienia (posiadał glinę), wreszcie w trzecim roku wojny rozpoczął i pomyślnie poprowadził pertraktacje ze Wschodnią Koleją Niemiecką o zakup i rozbudowę własnej bocznic kolejowej i postawienie przy niej magazynów przeładunkowych.

Równie pomyślnie układały się losy pracowników Inżyniera. Wprawdzie ustawodawstwo okupacyjne zabraniało Inżynierowi; wypłacać tygodniówki ponad 73 złote, jednak Inżynier kilkunastu swoim ludziom dawał z własnej inicjatywy prawie sto złotych tygodniowo bez odtrącenia kosztów, podatków i świadczeń. W wypadkach nagłych, jak wywózka rodziny do lagru, choroba albo łapówka, nie uchylał się wcale od obowiązku. Przez trzy miesiące finansował moje studia na podziemnym uniwersytecie, stawiając mi tylko jeden warunek: abym uczył się dla Ojczyzny. Filia urzędowała się inaczej. Furmani sprzedawali wapno na ulicy, dowożąc na budowę niepełne metry. Odrabiali prywatne kursy. Kradli z kolei. Ja z początku wynosiłem ze składu ton i kredę koszykiem i sprzedawałem je w mydlarniach okolicznych, jednakże zżywszy się z kierownikiem serdeczniej, wszedłem z nim w spółkę, podzieliłem teren pracy i uzgodniłem sposób księgowania. Wiązała nas również produkcja bimbru odbywająca się moim kosztem w mieszkaniu kierownika. Oddawszy mi lwi udział z detalicznej sprzedaży, kierownik pograżył się w szerokich interesach, wykorzystując firmę jako punkt przelotowy, a telefon składu jako niezawodny sposób komunikacyjny. Kierownik znał się na złocie i kosztownościach, sprzedawał i nabywał meble, znał adresy pośredników mieszkaniowych, a nawet sam handlował lokalami, miał stosunki ze złodziejami kolejowymi i ułatwiał im kontakty ze sklepami komisowymi, przyjaźnił się z szoferami i sprzedawcami części—samo-chodowych, prowadził także ożywioną wymianę z gettem. Uprawiał handel z wielkim łękiem, jakby przez siłę, wbrew własnemu poczuciu prawa. Odczuwał dotkliwą nostalgię za bezpiecznymi czasami przedwojennymi. Pracował wtedy jako magazynier w przedsiębior-

stwie żydowskim. Pod okiem czujnej właścicielki wyrabiał się uparcie na ludzi, kupił auto sportowe i zarabiał taksówką do trzystu złotych dziennie, odliczywszy dniówkę szofera. Wkrótce nabył pod miastem przy autostradzie jedną parcelę budowlaną, a na parę miesięcy przed wojną — drugą na bliskim przedmieściu. Rozumiał, że czyni to w zgodzie z prawem ludzkim, i żył pełnią życia, bez dokuczliwych rozterek duchowych. Z dorobku tych czasów ocalił place i walutę oraz głębokie przywiązanie do starej doktorowej.

Stara siedziała na miejscu Marii w nogach drewnianego tapczanu. Twarz miała ziemistą, zrujnowaną, pustą jak wyludnione miasto. Ubrana była w czarną jedwabną suknię, wytartą i błyszczącą na łokciach. Na szyi miała aksamitną szeroką wstążkę, a na głowie staroświecki kapelusz ozdobiony bukietem fiołków, spod którego wymykały się pasma rzadkich siwych włosów. Na kolanach trzymała starannie złożone palto z wyleniałym kołnierzem. Odziana była zbyt biednie jak na przedwojenną właścicielkę ogromnego składu towarów budowlanych, paru ciężarowych samochodów, własnej odnogi kolejowej, dziesiątków robotników i niewyczerpanego konta w bankach krajowych i szwajcarskich, zbyt biednie nawet jak na posiadaczkę platformy wszelakiego bagażu, wielu precyzyjnych maszyn do liczenia, zapobiegliwie i przezornie oddanych na przechowanie do konsulatu szwajcarskiego, nie mówiąc już o złocie i brylantach, które — według wyobrażenia ludzi ze strony aryjskiej — każdy Żyd przynosił z getta. Ubrana była biednie, siedziała skromnie w kącie. Wzrok utkwiała pod sufitem, oglądając pajęczynę na górnej półce książek. Pajęczyna się kołysała, bo

pająk piął się do góry.

— Jasieńku, zatelefonują, co? — rzekła stara do kierownika po długim milczeniu.

Ze zdziwieniem poderwał głowę znad książki o czasach i zabobonach średniowiecznych.

Mówiła chropawym szeptem, jakby tarł kamieniem o kamień. Świszczący szept wydobywał się z gardła wraz z oddechem. Dwa masywne złote rzędy zębów błyszczały w ustach, zdawało się, że kłapnęły, niemalże zadźwięczały. — Bo powinni dać znać, czy przyjdą. Prawda, że powinni? — Skierowała na niego wyblakłe, martwe, jakby zamarzłe oczy.

— A, to trzeba lepiej zaczekać, pani doktorowo — rzekł stanowczo kierownik. Pracowicie wy chuchał w oblodzonej szybie otwór i przechylając głowę, jednym okiem spoglądał z ukosa na plac, na otwartą bramę, na ulicę, która wzbierała już tłumami, bębnił palcami po ramie okiennej, czekał na klienta. — Przecież pan dyrektor obiecał telefonować. Wyjdzie pewnie dzisiaj razem z córeczką pani doktorowej.

— Jasio tylko tak mówi. A jeżeli im się nie uda, Jasieńku?

— Przeniosła znowu wzrok z sufitu na okno. Zwiędłe, pokurczone, robaczywe dłonie położyła na żółtej chustce, zacisnęła palce, jakby ją chciała zerwać z ramion, i bezwładnie opuściła na kolana.

— Co też pani doktorowa mówi! — gwizdnął niedowierzająco kierownik. Poglądził bujne, złociste, falujące włosy, odrzucając je niecierpliwym ruchem głowy. Spod mankietu popelinowej koszuli odsłonił się przy tym ruchu złoty longinus podłużny, wygięty, dopasowany do okrągłości przegubu, pamiątka po dobrych czasach w firmie na Towarowej. — Co pani doktorowa myśli! Zięc, dyrektor w szopach, może wyjść, kiedy zechce! Pozalutwia, co trzeba, portfel do kieszeni i — fiuuu! Tyle go zobaczą! Co pani się martwi, jak wyjdą? — Przynął sobie krzeselko i usiadł, wyciągając wygodnie nogi w długich oficerskich butach. — Tu trzeba myśleć, skąd kupić mieszkanie! Pani doktorowa wie, ile żądają? Pięćdziesiąt tysięcy! Dobrze, że człowiek w pierwszym roku wojny kupił sobie jaki ką, bo co by robił? Na sublokatorce by żył? Do kwaterunku by poszedł?

— Jasio sobie radę da! — szepnęła doktorowa i uśmiechnęła się lekko kącikami ust.

— Człowiek ma, chwalać Boga, ręce i nogi, myśli, jak gdzie może chapsnąć, i dlatego żyje! Panie Tadziku — przechylił się do mnie

— pańska narzeczona wygotowała dwadzieścia pięć litrów. Oszczędna dziewczyna! Buzi dać! I węgla wypaliła o połowę mniej. Robotna, nie ma co!

— Telefonowała — bąknąłem znad książki. — Pojechała na miasto rozwozić bimber. Powinna wrócić niedługo.

Między piecem a wieszakiem było mrocznawo, ale ciepło. Rozgrzane plecy łaskotały rozkosznie. Głowa ciążyła mi i szumiała. Odbijało mi się wódką i jajkami. Książka o średniowiecznych klasztorach budziła na wpół senne marzenia o ciemnych celach, gdzie wśród zabobonów ludu, rzezi szczepów i pożarów miast dokonywała się praca ocalania ducha ludzkiego.

— Jasieńku, czy walizki są w porządku? — szepnęła stara głucho, jak z dna studni. — Bo Jasio wie, że to jedyny teraz majątek córki. Ona jest taka niezaradna. Przyzwyczaiła się do opieki matki.

Wygrzewając się pod piecem, zapatrzyłem się w podłogę. Koc spuszczonego z tapczanu nie sięgał zapastowanych na czerwono desek. Widać było spod niego czarną przykrywkę remingtona. Wziąłem maszynę z szopy, aby nie zamokła, i wstawiłem na wszelki wypadek pod łóżko.

— Pani doktorowo, u nas wszystko musi być w porządku — kierownik zatarł z przyzwyczajenia ręce i popatrzył chwilę na mnie — w porządeczku jak w ubezpieczalni. Cóż to, pani doktorowa mnie nie zna?

— A jak oni tu mnie nie znajdują? Uliczka jest taka mała i na peryferiach — zaniepokoiła się nagle stara. — Zatelefonuję — zdecydowała i poruszyła się na tapczanie.

— Zwariowała pani doktorowa na starość? — parsknął nagle kierownik i gniewnie zmrużył serdeczne, niebieskie oczy, przykrył je prawie rżęsami koloru słomy. — Niemców na głowę sprowadzić? Dać im podsłuchać? Owszem, ale nie od nas!

Stara nastroszyła się i nadeła jak obudzona zniecka sowa. Splotła ręce na piersiach, jakby jej było zimno. Machinalnie obracała w palcach broszkę przypiętą do sukni.

— Jakże się pani przedostała do nas? — zapytałem, aby podtrzymać rozmowę.

Drzwi kantoru trzasnęły. Klient zatupał nogami, objając z butów śnieg. Kierownik kopnął krzesło i wyszedł do klienta. Stara podniosła na mnie puste oczy.

— Dwadzieścia siedem razy byłem w blokadzie ulic. Wie, co to blokada? Pewno nie bardzo wie? No nic — zachrypiała w przejściu, kiwając przyjaźnie ręką. — Mieliliśmy kryjówkę za szafą w takiej specjalnej niszy.

Dwadzieścia osób! Małe dzieci się nauczyły, to jak żołnierze chodzili i bili kolbami o ściany i jak strzelali, to małe dzieci tylko milczały i patrzyły takimi otwartymi oczyma, wie? Czy oni zdążą wyjść?

Podszedłem do półki z książkami. Włożyłem książkę między średniowieczne. Obejrzałem się na starą.

— Dzieci? — zdziwiłem się.

— Nie, nie, nie! Tam dzieci, co dzieci! Zięć i córka czy wyjdą! On żyje w wielkiej przyjaźni z szefem. Jeszcze z uniwersytetu w Heidelberg.

— Czemu nie wyszedł z panią?

— On tam ma interesa. Jeszcze dzień, jeszcze dwa... Tam się wszystko kończy. Ciągłe aus, aus, aus! Pusto w domach, pierze na ulicach, a ludzi wywożą, wywożą...

Zadyszała się i zamilkła.

Za drzwiami dochodziły brzękliwe, przekomarzające się głosy. Klient i kierownik ustalili cenę dostawy drzewa z pożydowskich domów z getta otwockiego, sprzedanych przez kreishauptmana² hurtem polskiemu przedsiębiorcy. Skrzypnęły drzwi, wyszli do sklepiku przypięć transakcję. Kierownik był abstynentem, ale dawał się skusić przy szczególnie pomyślnych wydarzeniach.

— Ja bym chciała do swoich rzeczy — rzekła nagle stara. Odrzuciła palto z kolan i z pośpiechem podreptała na dwór.

Urzędniczka w kantorze uśmiechnęła się do mnie zza stołu. Drobna i sucha, umieściła się wygodnie na kozetce. Cały dzień czytała brukowe romanse. Nasłał ją Inżynier, aby pilnowała kasy.

Z jego kalkulacji wynikało, że firma daje zbyt niskie dochody. W drugim tygodniu jej urzędowania zabrakło w kasie tysiąca złotych. Kierownik pokrył niedobór z własnej kieszeni, a Inżynier stracił do urzędniczki zaufanie. Do kantoru przychodziła zresztą tylko na kilka godzin, nie zajrzała ani razu do magazynu, nie wiedziała, co to lepik, a co bitumina, ale za to z regularnością poczty zaopatrywała mnie w konspiracyjne gazetki ozdobione godłem miecza i pługą. Zazdrościłem jej zejścia do podziemia, sam bowiem zadowalałem się półprywatnym powielaniem biuletynów, obfitą lekturą, pisywaniem wierszy i produkowaniem się na porankach poetyckich.

— Cóż z tą starą? Mebli dużo? — zagadnęła ironicznie urzędniczka. Głowę miała ustrojoną w czub wysoko spiętych, zmierzwionych niesfornie włosów.

— Każdy ratuje się, jak może.

— Przy pomocy bliźnich — zmrużyła złośliwie oczy. Była bardzo niestarannie upudrowana. Cienki nos świecił się jak wyczyszczony łożem. — Ej, panie magazynierze, jakże wiersze? Okładka wyschła?

Kierownik za rękę przyprowadził starą do kantoru. Przyszedł furman, aby się ogrzać. Kucnął przy piecu i sapiąc, wystawił do ognia spękane od wiatru i mrozu dłonie. Kozuch parował na nim i śmierdzał wilgotną skórą.

— Budy na mieście — rzekł woźnica. — Byłem w Centrali. Na ulicach pusto, aż strach jechać. Mówią, że jak z Żydami skończą, to nas będą wywozić. I u nas też łapij. Koło cerkwi i przy dworcu aż gielono od żandarmów.

— A to ładnie — prychnęła mała urzędniczka. Wstała nerwowo od stołu. Włoczyła nogami w zbyt głębokich kapcach, kręcąc z nieświadomym wdziękiem kościstymi, przebijającymi przez cienką sukieneczną biodrami. — Jakże ja wrócę do domu?

— Per pedes — rzekłem kwaśno i włożywszy pośpiesznie kurtkę, wyszedłem z kantoru. Ostry wiatr zmieszany ze śniegiem zaciął mnie w twarz. Nad skrzynią z wapnem kiwał się rytmicznie robotnik. Przytupując z zimna nogami jak śpiący koń, mieszał gracą lasujące się wapno. Kłęby białej pary podnosiły się znad kipiącej mieszaniny i owiewały mu twarz. Lasownik pracował całą zimę bez przerwy, szykując wapno na sezon letni. Dziennie przerabiał na mrozie do dwu ton wapna suchego.

Bramę składu kierownik przymknął. Gdy łapanka obejmowała uliczkę, zamykaliśmy ją na kłódkę. Pijani policjanci oczyszczali uliczkę z resztek tłumu, który przemykał się ku/polom. Niemiecki żandarm, wyższy nad tłum i jego troski, ale baczny na każdy ruch policjanta, obojętnie bił żelaznymi butami o bruk. Na placu pod ścianami domów było jeszcze gwarno i tłoczno. Pod oknami i parapetami przekupnie trzęśli kolanami, tupali nogami w słomianych chodakach i darli się ochryple nad koszykiem z bułkami, papierosami, kaszanką, pączkami, białym i razowym chlebem. Wydawało się, że to czarna ściana domu trzęsie się i krzyczy. W bramach ważono na prymitywnych wagach świeże mięso wieprzowe i przelewano pośpiesznie bimber. Na posesji leżącej na tyłach szkoły trwała jeszcze zabawa. Karuzela z jednym ogłupiałym dzieckiem na koniu kręciła się majestatycznie przy wtórze wrzaskliwej muzyki. Puste drewniane auta, rowery, łabędzie

z rozczapierzonymi skrzydłami płynęły łagodnie w powietrzu, kołysząc się jak na fali. Robotnicy zakryci deskami chodzili pod karuzelą w kieracie. Przy jaskrawo pomalowanej strzelnicy i w ogrodzie zoologicznym pod namiotem (w którym — jak głosił wyblakły od śniegu plakat — miały przebywać krokodyl, wielbłąd i wilk) świeciło beznadziejnie pustką. Kilku gazeciarzy ze schroniska, z plikami gazet niemieckich pod pachą, kręciło się na przystankach niezdecydowanie. Tramwaje bez ludzi okręcały się w pętli naokoło placu i dzwoniąc łańcuchami, wlokły się wzdłuż alei. Drzewa stały ośnieżone, skrzące się w ostrym słońcu, jak wyrzeźbane z łamliwego kryształu. Niebo leżało pogodnie, blade, wysokie. Był zwykły targowy dzień.

W głębi ulicy przestrzeń zamykały kamienne bloki domów i kępy nagich, wychudłych drzew. Za wiaduktem, chronionym kozłami hiszpańskimi, zasiekami i tablicami na torach, otoczony kordonem żandarmów falował tłum i podpływał ku wiaduktowi. Z wnętrza tłumy wynurzały się pękate, okryte brezentem ciężarówki i mierząc kołami śnieg, ciężko ciągnęły na most. Za ostatnim wozem wybiegła z tłumy kobieta. Nie zdążyła. Samochód nabrał szybkości. Kobieta podniosła ręce rozpaczliwym gestem i byłaby upadła, gdyby nie pomocne ramię żandarma. Wepchnął ją w tłum.

„Miłość, oczywiście, że miłość” — pomyślałem ze wzruszeniem i uciekłem do składu, ponieważ plac pustoszał przed nadchodzącą łapanką.

— Telefonowała narzeczona — powiedział kierownik. Był w dobrym humorze, podśpiewywał pod rudym wąsem i zataczał nogami taneczne półkola. — Jedzie z Ochoty, ale nie może szybciej, bo wszędzie łapią. Pod wieczór będzie.

Sucha, czubata urzędniczka rzuciła na mnie krótkie, podszyte złościwością spojrzenie.

— Pewnie zaczną z nami jak z Żydami? Pan się martwi?

— Powinna dać sobie radę — rzekłem do kierownika. Zziąłem na kość. Pogrzebałem kociubą w piecu i dołożyłem torfu. Z otwartych drzwiczek buchnęło dymem na całą izbę. — Chyba w tym miesiącu wagonów nie dostaniemy? Pewnie zrobią szperę wagonową?

Kierownik skrzywił się niechętnie. Przysiadł na krześle i delikatnymi jak u pianisty palcami stuknął po stole.

— A co nam przyjdzie z tego, jak puszcza wagony? — rzekł z goryczą. — Inżynier boi się trzymać cement i gips, wapno ma tylko dla Niemców na roboty na Forcie Bema, to co pan chce? Żebyśmy kwitli? Grochowskie zakłady dostały trzy wagony cementu, Borowik i Srebrny ma co dusza zapagnie, a my co? Gąsior, felcówki, grysiki, lepiki, maty trzciniowe!

— Niech pan nie przesadza — rzekła urzędniczka. — Gdyby pogrzebali w szopach, toby to i owo...

— Pewnie, że to i owo! Bo kombinuję na własną rękę! Inaczej przyszedłby kto do składu? Owszem, sklepikarz odważników pożyczyc!

Telefon zaterkotał. Kierownik zakręcił się na krześle i chwycił słuchawkę na pół sekundy przed małą urzędniczką. Oddał mi ją z niema gestykulacją.

— Nasz samochód — szepnąłem zasłaniając ręką tubę. — Co powiedzieć?

— Niech da pięćdziesiąt.

— Fiinfzig — rzekłem do tuby. — Abends?² Niech będzie wieczorem.

— Świetnie, chodźmy wobec tego coś zjeść — zatarł ręce kierownik.

Stara siedziała nieporuszona na tapczanie, jak zapędzone w kąt zwierzę. Kierownik zakrzętnął się po pokoju, nastawił bulion na maszynce i sprzątnął stolik.

— Jak Inżynier będzie miał mniej dochodu od nas, to raz — wyrzuci tę sikę, a dwa... no co, zdecydowałeś się pan?

— Cóż ja mam wobec pana? — rzekłem beznadziejnie. — Wszystko wpakowaliśmy w bimber. Wie pan, jak to jest; trochę książek się kupiło, trochę łachów, i tak. Papier też kosztował.

— A sprzeda pan chociaż te wiersze?

— Nie wiem, czy sprzedam. Nie pisałem na sprzedaż. To nie cegła dziurawka ani nie smoła — odpartem urażony.

— Jeżeli dobre, to powinni kupować — rzekł ugodowo kierownik, zagryzając bułkę. — Zbierzesz pan te parę tysięcy do spółki. Pan masz dobry łeb.

Stara zajadała powoli, ale z apetytem. Złoty masywny rząd zębów z lubością zanurzał się w miększym bułki. Wpatrywałem się w ich połysk, oceniając instynktownie wagę i wartość całej szczęki.

Trzasnęły drzwi, wszedł klient. Pallotyn z sąsiedniego kościółka miał rogowe okulary i uśmiechnął się nieśmiało. Powiadomiwszy

O łapance, zamówił parę worków cementu oraz żółty grysik. Zapłacił z góry samymi złotówkami powiązanymi w paczki.

— Niech będzie pochwalony — rzekł i nałożywszy czarny kapelusz, wyszedł, szeleszcząc sutanną.

— Na wieki wieków — odparła urzędniczka. Zakręciła piec

1 wytarła palce w skrawek gazety. — Jak pan myśli, co ta stara zrobi?

— Kierownik znajdzie dla niej mieszkanie. Stara ma za grubą forszę, żeby ją puścił z rąk — rzekłem półgłosem.

— Ale — prychnęła pogardliwie — więc pan nic nie wie? Kiedy kierownik wyszedł, stara telefonowała do córki. Nie mogą wyjść z getta. Już za późno. Szpera na całego.

— Stara pomartwi się trochę i przestanie.

— Bardzo być może.

Otuliła się w wytarte futro, umieściła się wygodniej na kozetce i powróciła do książki. Nie zdradzała ochoty do dalszej konwersacji.

III

Wieczorami zostawałem w składzie sam wśród suszących się jak mokra bielizna okładek tomu poetyckiego. Apoloniusz wyciął je z papieru w formie in folio', dopasowawszy do rozmiarów siatki ręcznego powielacza, który wypożyczony mi do odbijania niezmiernie cennych komunikatów radiowych i wartościowych rad (wraz z wykresami), jak prowadzić walki uliczne w większych miastach, posłużył również do druku wzniosie metafizycznych heksametrów, wyrażających mój nieprzychylny stosunek do dmącego apokalip-tycznie wiatru dziejów. Okładka była dwustronnie ozdobiona czarno-białymi winietami, przy użyciu rewelacyjnie nowej techniki powielaczowej: pojedynczych kawałków matrycy białkowej, które nalepione na siatkę dawały białe plamy, sama zaś siatka — plamy czarne. Sposób był bardzo pomysłowy, ale pochłaniał zbyt wiele farby i okładki schły już tydzień — bez rezultatu. Zdjąłem je więc ostrożnie ze sznurów, obłożyłem w grubym pergamin, zapakowałem ciasno i wsadziłem pod drewniany tapczan. Spuszczony do podłogi koc zakrywał zepsute radio oczekujące na mechanika, walizczkowy powielacz, płaski jak cygarnica, solidną maszynę do pisania reming-ton zabraną z szopy, aby nie zmokła, oraz komplet publikacji pewnej organizacji imperialistycznej, pozostawiony w składzie na przechowanie przez przyjaciela, który miał wynosić się z domu, a nie miał siły pozbyć się kolekcjonerskich i antykwariackich zamiłowań.

Wieczorami także, nie żałując grzbietu ani kolan, szorowałem pracowicie podłogę, wycierałem stół i jako tako okno, a kiedy uznałem, że w pokoiku jest zacisznie i przytulnie jak w uchu, przykrywałem seledynowym kloszem jarzący się grzybek i zamykałem troskliwie pokój, aby nabrał ciepła. Siadywałem zazwyczaj przy piecu w kantorze. Robiłem drobiazgowo notatki bibliograficzne, którymi wypychałem specjalne pudła, zapisywałem na luźnych karteczkach głębokie sentencje i trafne aforyzmy, które znalazłem w książkach, i uczyłem się ich na pamięć. Tymczasem nadchodził zmierzch i zaproszał karty książki. Podnosiłem oczy ku drzwiom i czekałem na przyjście Marii.

Za oknem śnieg tracił błękit, mieszając się ze zmierzchem jak z szarym cementem. Wyniosła ściana spalonego domu, zrudziała jak wilgotna cegła, nabiegła czernią, nieruchomiła, jakby milkła, bezgłośny wiatr podnosił znad toru kłęby różowego dymu, rwał je na strzępy i rzucał na siniejące niebiosa jak płatki śniegu na przezroczystą wodę. Zwykle przedmioty, grząska jak zgniły melon góra piasku firmowego, kręta ścieżka, brama, trotuary, mury i domy ulicy nikły

w mroku jak we wzbierającym przypiływie. Został tylko nieuchwytny szum, którym tętni najgłębsza cisza, gorący puls, którym bije ciało człowieka, i głucha tęsknota do przedmiotów i uczuć, których człowiek nigdy nie zazna.

Na podwórzu krzatali się jeszcze ludzie. Woźnica wynosił z ciemnego wnętrza szopy pakunki, jak z worka, i ciskał je z rozmachem na platformę. Na platformie stał stary lasownik' z rozkraczonymi nogami. Chwytał ze stękaniem bagaż i ubijał go fachowo na wozie, jakby układał torby gipsu albo hydratyzowanego wapna. Z wysiłku wypchnął językiem policzek.

Kierownik stał za wozem przy starej. Uchwycił się deski przy wozie i paznokciem bezmyślnie odłupywał drzazgę.

— Ja tam nie wiem, jestem inaczej nauczony — rzekł do starej gniewnie, wydymając wargi. — Ale na mój rozum nie należało tak od razu. Gdzie tu głowa? Gdzie rozum? Po co był ten cały kłopot?

Stara przechyliła na ramię głowę w kapeluszu z kwiatkami. Na ziemistych policzkach dostała od mrozu

buraczanych wypieków. Wargi jej drżały z zimna. Złote zęby błyszcząły zza warg.

— Niech bardzo uważa przy pakowaniu — powiedziała ostro do lasownika. Twarz jej drgała przy każdym ciskaniem pakunku, jakby to ją rzucano na platformę. — Niech Jasio wybaczy — zwróciła się do kierownika — że mu sprawiłam kłopot. Jasiowi się przecież opłaciło, prawda?

— Co tam pani doktorowa ma myśleć — rzekł kierownik, wzruszając ramionami. — Pieniądze, co je wzięłam, to dałam na mieszkanie, a tych parę ciuchów, które pani doktorowa zostawiła u mnie, to zawsze można... Ja tam się od tego nie wzbogacę.

ZgARBIONA pod szarą ścianą szopy stara przebierała z zimna nogami w wytartych, przydeptanych pantofelkach, pociągała nosem i zwyczajem krótkowidzów, mrugając zaczerwienionymi powiekami, patrzyła na kierownika oczyma zażawionymi. Milczała i uśmiechała się.

— Dużo ich tam pani doktorowa obroni. I tak, i tak giemza

— mówił dalej kierownik patrząc w ziemię, na szprychy koła i na błoto pod kołami. — Co, pani doktorowa nie wie, jak będzie? Zabiją spalą, zniszczą, stratuja, i tyle. Nie lepiej żyć? Ja tam wierzę, że przyjdzie taki czas, kiedy człowiekowi pozwolą spokojnie handlować.

Potężny diesel z przyczepką wtoczył się w ulicę, plując dymem, i podjechał pod bramę. Kierownik uśmiechnął się z ulgą i pośpieszył otwierać drugą szopę, ja zaś podskoczyłem prosto przez śnieg do bramy. Traktor wepchnął się zadem na przeciwległy chodnik i jak żuk wypełznąwszy przez rynsztok na podwórze, podjechał pod rozwartą szopę. Z szoferki wyskoczył kierowca w brudnym kombiniezonie i niemieckiej furażerze zawadiacko osadzonej na kruczych, lśniących włosach.

— Abend. Pięćdziesiąt? — zapytał i plasnąwszy z rozmachem w ręce, wszedł, kołysząc biodrami, do szopy. Rozejrzał się z zainteresowaniem po kątach.

— O la, la! Wyprzedaliście wszystko? — rzekł, cmoknąwszy ustami. — Duży obrót, duży zysk. Ale teraz o dziesięć złotych drożej na worku. Po trzydzieści pięć?

— Ten numer nie przejdzie — rzekł kierownik, rozkładając ręce wymownym gestem.

— Trzydzieści dwa. Na rynku jest pięćdziesiąt pięć i drożej

— powiedział żołnierz bez zniecierpliwienia.

— Ma on ludzi do wyładowania? — zapytał mnie kierownik.

— Trzeba brać.

— Keine Leute? — roześmiał się szeroko żołnierz. Miał zdrowe, końskie zęby i błyszczące, starannie wygolone policzki. Podszedł do przyczepki i rozsznurowawszy plandekę, zakomenderował: — Mei-ne Herren, raus! — Proszę was bardzo — ausladen!²

Dwaj drzemiący na workach cementu robotnicy odrzucili palta, którymi się przykrywali, wyskoczyli przerażeni krzykiem z głębi auta i opuścili pokrywę. Jeden wytaczał torby na krawędź podłogi; drugi chwycił je rękoma, przyciskał płaski worek do piersi, niósł do magazynu i rzucał z traskiem na podłogę. Wyjaśniłem mu, jak należy układać cement, wiążąc worki, by sterta nie przewaliła się k'czortu.

Drzemiący w szoferce pomagier kierowcy wychylił się z okienka.

— Oni mają się pośpieszyć, Peter. Musimy zaraz dalej. Podparł się łokciami i patrzył sennie w głąb szopy. Złota damska

bransoletka luźno zwisała na przegubie. Dłonie miał owłosione, twarz smagłą, czarną od zarostu.

— Prędeż, prędeż, du alte Slawe — mruczał przez zęby. Napotkawszy moje badawcze spojrzenie, uśmiechnął się przyjaźnie.

W szopie umączony cementem robotnik (jak kto nie umie obchodzić się z towarem, to zawsze przy przenoszeniu porwie parę worków i narobi szkody) podniósł ku mnie srebrzystą, unurzaną w cemencie twarz i zapytał szeptem, udając, że wierzchem dłoni ociera oczy:

— Jest pięć worków więcej. Weźmie pan dzisiaj?

— Po dwadzieścia — mruknąłem, nie ruszając wargami. — Komm do kantoru. Obliczymy się — rzekłem do żołnierza. Zgasił zapałkę, przydeptał troskliwie podeszwę. Zaciągnął się z ochotą dymem. Nikły różowy blask rozjaśnił mu policzki i odbił się w oczach.

— Funzig sztuk? Pięćdziesiąt? — pokazał robotnikowi pięć rozczapierzonych palców.

— Jaja, chef, ja liczę! Ani jednego więcej! — wykrzyknął gorliwie podawacz spod plandeki.

Furman kończył ładować wóz. Lasownik dobijał bagaż i podciągał sznury. Osznurowali platformę troskliwie jak paczkę ze szkłem. Znali się na pakowaniu. Ukryli w środku rzeczy cenniejsze, skórzane walizy i brezentowe worki z bielizną, na wierzch zaś i po bokach dali plecione kosze, stołki, klekocące naczynia. Platforma stała

niecierpliwie jak arka. Stara dreptała pod szopą, trzymając ręce w mufce. Ujrawszy przechodzącego z bliska żołnierza, przestraszyła się i skryła za drzwi magazynu.

— Przeprowadzka? — zapytał mimochodem szofer.

— Przeprowadzka, oczywiście, że przeprowadzka, a cóż by innego?

Niebo ścieśniało się, osiadało nad mrokiem bezszelestnie jak opadający ptak. Bezlistne drzewo nad torem szamotało się z wiatrem zaciekle jak człowiek, który postanowił się nie dać.

— Wy ale żyjecie spokojnie — rzekł z dobroduszną pogardą żołnierz. — A nasi walczą za wasz spokój.

Kierownik poprosił siadać. Rozmawiał przez telefon z żoną.

— Więc udał się obiad czy nie? Buraczki — nie. Weź kapustę. — Uśmiechnął się wyrozumiale. — Dzieciak? Śpi? Obudź go, już śpi dwie godziny.

— Książek przybyło, co? — rzekł żołnierz, uchyliwszy drzwi do pokoju. — O, jaki nastrój! Tylko patefon nastawić! Panienska, co, panienska? — Pokazał palcem czerwony szlafrok na wieszaku. Obejrzał obrazy Apoloniusza, żebraczkę pod chropawym murem trzymającą za rączkę dziecko z wylupiastymi oczyma oraz martwą naturę z żółtym dzbankiem. Naniósł do pokoju błota i smrodu żołnierskiego.

Kierownik wydobyl z portfelu paczkę starannie powiązanych banknotów i przeliczywszy modlitewnym szeptem, podał szoferowi.

— Znowu środa, następny tydzień, ja! — zapytał szofer.

— Ist gut — rzekł kierownik — ist sehr gut. ‘Widzi pan, panie Tadziku, gdyby człowiek miał własny skład, toby się nie krył z towarem. Przettrzymałby parę dni, zarobek pewny.

— Urzędniczka zaraz poleci do Inżyniera.

— Nie uwierzy, jak nic nie znajdzie... Odstąpimy od ręki czerniakowskim zakładom. Ale i tak Inżynier musi być dobrze z nami. Wpakował forszę w bocznice i robi bokami — powiedział chępliwie kierownik.

— Kombinuj pan kupić tę budę. Ja, co będę miał, dołożę.

— A jak zupełnie zabronią budować?

— Teraz też zabraniają, a ludzie budują. Wyżyć to pan wyżyje z tego, co pan ma w szufladzie. Plac i szopy zostaną na po wojnie. Jak znalazł. No, widzi pan, chodźmy odprowadzić starą.

— Zapomniała maszyny u pana — powiedział kierownik. Od-cesał dłonią włosy i z pewną elegancją nałożył czapkę tramwajar-ską. Na ulicy udawał tramwajarza. Jeździł za darmo tramwajami i czuł się bezpieczny przed łapanką.

— Maszyna przyda się firmie.

— Ja, ist gut. — Żołnierz przeliczył pieniądze, schował je do kieszeni kombinezonu i uściskał nam serdecznie, ale nie wylewnie dłoń, wyszedł, chrzęszcząc butami.

Furman odjął koniowi worek z obrokiem, zapalił latarnię, podczepił ją pod wozem, zebrał w dłonie lejce, cmoknął uroczyście i platforma, oświetlona pełgającym krwawo blaskiem jak karnawałowy pojazd, ruszyła, skrzypiąc, za bramę, zanurzyła się w ulicę jak w ocienioną aleję.

Między purpurową jak spieczona usta kołdrą, ściągniętą białym sznurkiem od firanki, a pękatymi walizami, zwinięta w kłębek jak pies, siedziała, podkuliwszy pod siebie nogi, stara Żydówka, nakryta z góry białym ukośnie przechylonego stołu, którego nogi niczym martwe kikuty sterczały ku niebu i podskakując wraz z białym za każdym poruszeniem wozu, zdawały się mściwie mu wygrażać. Stara miała oczy zamknięte, głowę wtuliła w futrzany kołnierz, najwidoczniej drzemała. Parę obdartych dzieciaków pobiegło za platformą w nadziei, że uda się coś ukraść.

Ulica ożywała wieczorem. Na granatowym niebie złoty księżyc toczył się naprzeciw pierzastym obłokom jak krążek ananasa i metalicznym blaskiem opadał na dach ulicy, w zasłony murów, na chrzęszczący jak srebrna blacha śnieg trotuaru. Przed szkołą chodził dorodny żandarm, cały niebieski od zmroku. Panny z pralni przesuwaly się pod fioletową latarnią i znikaly w cieniu spalonego domu. Od sklepikarza wychodzili podochoceni policjanci na służbę nocną. Dzwonek w odnawianym naszym cementem i wapnem kościółku poczynał świegotać radośnie jak bawiące się dziecko, płosząc uspięne na parapecie dzwonnicy gołębie, które z łopotem skrzydeł wzbijały się nad wieżę i jak płaty chryzantem sennie osuwały się na dach.

Traktor z cementem ostrożnie wyminął doły na wapno i zatrąbiwszy na pożegnanie, opuścił podwórze. Dskoczyłem do przyczepki i wsadziłem pieniądze w wyciągniętą rękę robotnika.

— Dziesięć było, dziesięć! — krzyknął. Plandeka zakryła się za nim.

— Oblatwiliśmy dzień — rzekł kierownik, przepasując rzemieniem tramwajarski płaszcz. Ściągnął pas

rzetelnie, na siłę, gdyż lubił wydawać się szczupłym. — Zostajesz pan sam. Coś narzeczona nie przyjeżdża?

— Boję się o nią — odpowiedziałem. — Łapanka trwa cały dzień. Musieli sporo nałapać.

— Co robić — westchnął ciężko kierownik. — Narzeczona pewno nie może się dostać do pana. — Włożył do teczki kawał mięsa, które wybrał na jutrzejszy obiad.

— Czekaj pan, pójde coś kupić na kolację. Jeść się chce po tym głupim dniu. — Wyszliśmy na ulicę, zatraskując furtkę. Niemiecki traktor zamykał wylot ulicy, trząsł się i dymił. Przechodnie gromadzili się na chodniku i patrzyli na plac. Przy rynsztoku stała platforma z betami. Woźnica cierpliwie czekał na wolny przejazd.

Wieczór zapadał coraz głębszy. Za czarnym pasem pola, nad srebrnym nurtem rzeki, kamienny most napinał się na tle nieba jak łuk. Na drugim brzegu czarna bryła miasta zapadała w grząską ciemność. Nad nią wysokie słupy reflektorów wzbijały się ręciovym światłem w niebo, przekreślały je i jak ramiona marionetek bezwładnie opadały wzdłuż ziemi. Świat na chwilę zwiężał się do jednej ulicy tętniącej jak otwarta żyła.

Z chrzęstem, przy pełnych reflektorach, waliły jezdnią wypchane ludźmi ciężarówki, przelewając się na wybojach. Twarze ludzi ukazywały się spod brezentu białe, jakby posypane mąką, i jak zdmuchnięte wiatrem nikły w ciemności. Motocykle, obsadzone żołnierzami w hełmach, wynurzały się spod wiaduktu i trzepocząc skrzydłem cienia jak potworne motyle, znikwały z hukiem za samochodami. Duszący dym spalinowych motorów słał się na jezdni. Kolumna szła w stronę mostu.

— Nałapali pod cerkwią — rzekł za mną sklepikarz. Położył mi ciężko ręce na ramionach. Biło od niego odorem wódki i śmierdziało machorką. — Żeby ich ziemia pochłonęła!

— Zabierają się do nas — rzekł ponuro policjant z paskiem zapiętym służbowo pod brodą. Zdjął czapkę i otarł czoło rękawem. Czerwona pręga, odcisnięta na łysinie przez czapkę, bielała na chłodzie. — Ano, tak — dodał przez zęby.

— Ta Żydówka wyprowadza się od was? — szepnął konfidencyjnie sklepikarz. — Tak szybko?

— Wyprowadza się gdzie indziej.

— To co będzie z mieszkaniem? — zaniepokoił się sklepikarz. Nachylił się do ucha. — Ja już z ludźmi gadałem. Pan kierownik miał dzisiaj dać zadatek.

— To szukaj pan kierownika — powiedziałem niecierpliwie i otrząsałem jego łapy.

— Przepraszam — szepnął sklepikarz. Światło reflektora przejechało po jego twarzy. Zamrugał powiekami, opędzając się od blasku. Reflektor oświetlił wnętrze ulicy, twarz sklepikarza oblekła się w mrok.

— Ona wraca do getta. Ma tam córkę, która nie może się wydostać.

— No pewno — rzekł z przekonaniem sklepikarz. — Przynajmniej umrze z nią jak człowiek... — westchnął ciężko i zapatrzył się w ulicę.

Na zakręcie alei powstał zator. Kolumna zatrzymała się, samochody zbliżyły się do siebie. Padły gardłowe nawoływania. Motocykle wytoczyły się z za aut i oświetliły reflektorami jezdnię, tramwaje, trotuar i tłum. Reflektory prześliznęły się po twarzach ludzkich jak po zbielałych Kościach; zajrzały w czarne, ślepe okna mieszkań; ogarnęły jarzącą się zielonymi lampionami, zatrzymaną wpół taktu karuzelę z chwiejącymi się na linach pstrokatymi końmi na biegunach, łabędziami o łagodnie wygiętych szyjach, drewnianymi autami, rowerami; pomacały głąb placu końskiego; otarły się o namiot ogrodu zoologicznego z krokodylem, wilkiem i wielbłądem, zbadały wnętrze tramwajów stojących ze zgaszonymi światłami, zawahały się na lewo i na prawo jak głowa rozdrażnionego węża, powróciły do ludzi, oślepiły jeszcze raz oczy i skierowały się na auta.

Twarz Marii otoczona szerokim rondem czarnego kapelusza była biała jak wapno. Trupioblade, kredowe dłonie podniosła spazmatycznie ku piersiom jak w geście pożegnania. Stała w aucie, wciśnięta w tłum tuż przy żandarmie. Patrzyła z natężeniem w moją twarz jak ślepa, prosto w reflektor. Poruszała wargami, jakby chciała zawołać. Zachwiała się, omal nie upadła. Samochód zatrząsł się, zawarczał i nagle szarpnął. Nie wiedziałem zupełnie, co robić.

Jak się później dowiedziałem, Marię, jako aryjsko-semickiego mischlinga, wywieziono wraz z transportem żydowskim do osławionego obozu nad morzem, zagazowano w komorze krematoryjnej, a ciało jej zapewne przerobiono na mydło.

